

Winni tylko kierowcy?

17 maja br. w Poznaniu kierowca ciężarówki — spowodował — jak wynika z ustaleń śledztwa — wypadek, w którym zginęło dwoje młodych ludzi. Kilka dni później, do redakcji wpłynął list, którego autor — w związku z ową, tragiczną katastrofą i jej podobnymi — postulował podjęcie kampanii prasowej przeciwko kierowcom — w obronie pieszych.

31 maja br., drukując fragment tej korespondencji, dołączyliśmy do niej odrędkowy komentarz, stwierdzając, że zasady ruchu drogowego nagminnie łamane są zarówno przez część kierowców, jak i część pieszych, rowerzystów i wozaków.

Obecnie pan Zygmunt D. (nazwisko i adres znane redakcji), krytykuje nasze stanowisko, pisząc, że nie można się z nim zgodzić „z powodu niewspółmiernej miary ponoszenia skutków przekraczania przepisów drogowych przez pieszych i przez kierowców”.

Rozwijając tę tezę, Czytelnik stwierdza:

1. „Wypadek, powstały z winy przechodnia (bywa nader częsty). — Główne skutki z powodu przekroczenia przepisów, ponosi „za karę” sam przechodzień, i to przeważnie natychmiast, w sposób bardzo dotkliwy. Płaci on utratą zdrowia, kalectwem lub nawet śmiercią chwilę nieuwagi czy lekkomyślności. W najlepszym razie mandat (o ile w pobliżu jest milicjant), w najczęstszym — dotkliwe urazy ciałne. Taki jest czynnik „sprężyniający” przechodnia z pojazdem mechanicznym — przy winie przechodnia”.

2. „Wypadek, powstały z winy kierowcy — skutki dla pieszych te same. Ewentualne ukaranie winowajcy nie poszkodowanemu nie daje...”

Trudno się zgodzić ze stwierdzeniem, że główne skutki przekroczenia przepisów, ponosi sam przechodzień. Nie zawsze tak bywa. Ilekroć dochodziło do tego, że kierowca, chcąc uniknąć potrącenia np. dziecka, które nagle wbiegło na szosę, gwałtownie zmienił kierunek jazdy i uderzył w drzewo lub inny pojazd.

Nietrafne wydaje się być również sformułowanie „ewentualne ukaranie winowajcy” (chodzi o kierowcę). Zwrot ten sugeruje, że sporej części kierowców bezkarnie uchodzi spowodowanie katastrofy. Tymczasem w praktyce zdarza się to bardzo rzadko. Z reguły kierowca — sprawca przestępstwa drogowego, zostaje ujawniony i ukarany.

Pan Zygmunt D. stwierdza następnie, że nic to poszkodowanemu nie daje. I ten pogląd wymaga polemiki.

Wszak skazanie kierowcy — sprawcy wypadku — równoznaczne jest z wymierzeniem sprawiedliwości winnemu. Naturalnie, w grę nie wchodzi indywidualne pomszczenie krzywdy poszkodowanego w tymże wypadku. Nie zapominajmy nadto, że wyrok skazujący kierowcę, ułatwia prowadzenie cywilnego procesu o odszkodowanie.

Oczywiście, nikt nie neguje tego, że w starciu samochód — przechodzień, ten ostatni narażony jest na obrażenia i śmierć w stopniu znacznie większym niż kierowca, osłonięty obudową samochodu. Ofiarą (w znaczeniu fizycznym), wypadku z reguły bywa słabszy uczestnik starcia — to pewnik. Jednakże różny stopień narażenia na urazy wypadkowe — naszym zdaniem — wcale nie przesądza, że ofiara wypadku jest równocześnie ofiarą przestępstwa drogowego. Równie dobrze może być jego sprawcą.

Nie jest to pogląd, który zyskał sobie prawo obywatelstwa. O człowieku, który postrzelił się, wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z bronią, lub o turyście, który życiem przypłacił ryzykowną wspinaczkę górską — zgodnie mówimy: sam sobie winien. Taki sam osąd winien towarzyszyć, ale nie zawsze towarzyszy, np. potrąceniu przez samochód pasażera, jadącego na stopniach tramwaju, czy też przejechaniu pijanego, który o zmroku leżał na szosie (niestety, nie jest to przy-

kład wymyślony). Często zapomina się, że kierowcy przez różnych użytkowników dróg, stawiani bywają w sytuacji niezwykle trudnej, z której nie można wyjść bez szkody dla innych osób, a nierzadko i dla siebie. Do powstania takiej sytuacji czasami w zupełności wystarczy jeden, jedyny błąd przechodnia.

Pan Zygmunt D. pisze: „Pieszy w zasadzie popełnia jeden błąd: wchodzi w nieodpowiednim miejscu na jezdnię, podczas gdy ze strony zabezpieczonego kierowcy spotykamy o wiele więcej przyczyn, będących powodem najczęstszych wypadków”.

Trudno się z tym zgodzić. Nie można mówić jedynie o wejściu w nieodpowiednim miejscu na jezdnię. Przecież wkrócenie na zebra, kiedy pali się czerwona lampa, również jest błędem. Popełniają też piesi inne wykroczenia: jeżdżą na stopniach tramwaju, wyskakują zeń na jezdnię, chodzą prawą zamiast lewą stroną szosy, ba, godzinami przebywają na jezdniach (wiele ulic pełni jeszcze funkcje placów dziecięcych zabaw).

Jeden rodzaj przewinienia pieszych przeciwstawia nasz korespondent na stepującemu zestawieniu przyczyn powodowania przez kierowców wypadków:

1. alkoholizm kierowców;
2. świadome używanie pojazdów z usterkami technicznymi;
3. niedostateczne wykształcenie i wady zdrowia.”

Zgadza się. Pisaliśmy o tym w szczególności o pijanistwie niejednokrotnie. Znacznie mniej pisze się i mówi o alkoholizmie przechodniów, jako przyczynie wypadków. A przecież jest to zjawisko również negatywnie wpływające na stan bezpieczeństwa drogowego i, niestety, bardzo nagminne. Także część innych przyczyn, powodowania przez kierowców wypadków, odnieść można do pieszych...

Według milicyjnych statystyk — piesi stanowią tę kategorię użytkowników dróg, która powoduje najwięcej wypadków. W

Dokończenie na str. 2

SPRAWY RODAKÓW

Dlaczego, starsi i młodzi, walą do kina na westerny? No, oczywiście, wiadomo, egzotyka panoramy New Mexico, Utah, czy Colorado, żywość akcji, napięcie i tak dalej. Jest wszakże jeden jeszcze ważki element, jakoś pomijany przy dysputach nad przyczynami popularności tego typu filmów. Mam na myśli sympatie widza dla ludzi, występujących w obrazach z Dzikiego Zachodu.

Podobają się nam ci twardzi ludzie, nadstawiający głowy w imię więzów przyjaźni, czy z racji spoczywających na nich obowiązków. Ich konsekwentna, nacechowana wolą walki postawa, spotyka się z powszechną aprobatą widzów. Nie jeden, zwłaszcza młodszy, bywalec kina, pragnąłby utożsamić się z bohaterem filmu.

Koniec projekcji, kurtyna, gasną światła, wychodzimy na ulicę, wracamy do domów, jutro podejmujemy pracę, codziennie bierzemy nas znów w swe władanie.

Lecz oto ktoś — może my sami? — przy jakiejś tam okazji palnie: — A dajcież mi święty spokój!

Może trzaśniemy przy tym drzewami, albo odwrócimy się tyłem, lub opuścimy jakieś dyskutujące grono. Czasem będzie to nie znaczący epizod, po którym rychło nadejdzie refleksja, że po prostu poniosł nas temperament, albo że postuzyliśmy się zaklęciem „święty spokój” w miejsce rzeczowych argumentów, których nam zbrakło. Ale przecież bywa inaczej. Bywa tak — i wystarczyć bacznie rozejrzeć się w środowisku, w jakim się obracamy, by znaleźć po-

Tadeusz Boy-Żeleński humanista i mędrzec

„Nachtigall” — poetycką nazwę znalazł dla batalionu SS „do specjalnych poruczeń”, który nocą z 3 na 4 lipca 1941 roku, w świeżo zdobytym w toku błyskawicznej ofensywy na Wschód Lwowie, rozstrzelał kilkunastoosobową grupę polskich profesorów Uniwersytetu Lwowskiego i Politechniki Lwowskiej.

Choć nie mam wątpliwości, że członkowie plutonu egzekucyjnego, który wykonywał ten ponury wyrok śmierci na czołowych intelektualistach lwowskiego ośrodka uniwersyteckiego, dokładnie wiedzieli, co czynią — wątpię, czy ktokolwiek spośród nich (łącznie z najbardziej wykształconym członkiem ekipy „Nachtigall” — doktorem Oberländerem) zdawał sobie sprawę, iż ich kule sięgają także jednego z najciekawszych pisarzy, jedną z najbardziej fascynujących postaci w literaturze europejskiej wieku XX — Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Urodzony w roku 1874 w Warszawie, syn znanego kompozytora Władysława Żeleńskiego, młodość i okres studiów uniwersyteckich (kończył medycynę) spędził Boy w Krakowie i w Paryżu. I spora część drogi rozwoju jego twórczości jest swista opowieścią o tych dwóch miastach.

W ich klimacie bowiem narodził się Boy — poeta. Miłośnik paryskich kabaretów i teatrzyków bulwarowych, krakowianin z doświadczeń, tworzył Boy w roku 1905, w krakowskim „Zielonym Baloniku”, nowy, własny typ kabaretu literackiego. Ta data jest jednocześnie datą narodzin nowoczesnego kabaretu i nowoczesnej satyry poetyckiej w Polsce; jej kolebką jest Kraków — aży! różnorodnego typu konserwatyzmów, a zarazem miasto, którego intelektualna i artystyczna atmosfera w największym stopniu sprzyjała wytworzeniu się sztuki walczącej o postępowość, racjonalizm, umiowanie prawdy. Kontynuacja tych żartobliwych przyspiewek i kuletów był „Słówka” — perle nowoczesnej poezji, arcytwór prostoty, wdzięku i finezji, wiersze satyryczne, bez których nie można sobie wyobrazić całej właściwie poezji sa-

tyrycznej w Polsce, łącznie z Tuwimem i Gałczyńskim.

Z paryskich zachwyceń i olśnień, a jednocześnie z gorącego pragnienia przyswojenia tych skarbów polskiej kulturze (i także, przynajmniej ba, z chęci zabicia nudy podczas wie logodzinnych dyżurów, jakie pełnił nie mogący wówczas jeszcze wyżyć z pióra Tadeusz Żeleński — lekarz kolejowy krakowskiego węzła komunikacyjnego) — zrodziła się druga wielka pasja pisarska Boya: jego nie mająca chyba odpowiedników w twórczości żadnego pisarza, ani chyba w literaturze żadnego kraju twórczość przekładowa. Blisko 200 pozycji książkowych liczy wykaz bibliograficzny przekładowych prac Boya — i nie ma tu ani jednej książki przypadkowej. „Biblioteka Boya” — taki tytuł, przekorny, a zarazem jak że uprawniony, nosiła seria przekładów arcydzieł literatury francuskiej, obejmująca cały niemal jej cykl rozwojowy, od Villona poczynając, po Prousta i Alfreda Jarry'ego (poprzez Montaigne'a, Rabelaisa, Pascala, Corneille'a, Moliere'a, Stendhala, Balzaka). Dziś takie serie powołują do życia całe instytucje, patronują im akademie — wtedy, w owym trudnym momencie historycznym, kiedy nasza kultura i nasze życie społeczne odżyły niepodległość, realizował to niebawem zamierzenie jeden człowiek, przekonany o konieczności zbudowania trwałego pomostu między kulturą polską a francuską.

I nie tylko francuską. Przekładał z jednego języka, kompetencji i umiejętności filologicznych nabrał na jednej literaturze, którą umiłował i przeniknął na wskroś; ale jako krytyk, a także jako uczony ogarniał Boy rozległy horyzont całej właściwie autentycznej kultury światowej. Widać to najwyraźniej w jego ponad dwudziestoletniej, systematycznej działalności jako krytyka teatralnego (owoce tej działalności zebrano w szereg tomów „Flirtu z Melpomeną”); ogarniał nią Boy całość ówczesnego repertuaru teatralnego, traktując ją z pełną wiedzą o stanie współczesnej sztuki teatralnej i o niewyczerpanych zasobach dramaturgii światowej i rodzimego. Co najważniejsze zaś —

cały ten rozległy wachlarz wartości estetycznych i humanistycznych rozpatrywał Boy z punktu widzenia rodzimych potrzeb kulturalnych, ideowych, społecznych. Recenzje teatralne Boya nie tylko torowały drogę nowej sztuce (na przykład niedocenianej wówczas dramaturgii Stanisława Ignacego Witkiewicza, która dziś robi światową karierę), ale były jednocześnie świetną publicystyką — podejmującą istotne problemy walki o postęp społeczny, intelektualny, ideowy.

Ten charakter jego krytyki teatralnej wiąże ją zarazem z dwiema dalszymi dziedzinami oryginalnej twórczości pisarskiej Boya: z jego publicystyką społeczną — i jego esesystyką badawczą z zakresu historii literatury. Jako publicysta, autor „Dziwów konsysterskich” i „Naszych okupantów”, położył Boy nie dające się przecenić zasługi w walce z klerykalizmem, w walce o zeświecczenie obywateli, życia umysłowego, kulturalnego, społecznego. Jako esesista, autor kapitalnych studiów z dziejów literatury francuskiej (wyrzucił one z komentarzy i przedruków do kolejnych pozycji „Biblioteki Boya”), a także szkiców o Mickiewiczu, „Obrachunków freudowskich”, zapisał Boy niejednokrotnie w kozi róg swych tytułowanych polemistów akademickich nie tylko przewagą wiedzy historyczno-literackiej, lecz przede wszystkim wspólną wszystkim dziedzinom jego twórczości troską o wykorzystanie bogactwa zjawisk i wartości artystycznych dla wzbogacenia i uśzlachetnienia wiedzy, kultury, świadomości społecznej narodu.

Nie wiedząc z pewnością, jakiego tytań myśli wyrwywały z grona żywych, domyślał się chyba oprawcy z „Nachtigallu” w każdym razie, że zadadza ciężki, niepowetowany cios polskiej kulturze mordując kolejną grupę jej czołowych twórców.

Ale nie przewidzieli tego, że spuścizna intelektualna pomordowanych, a przede wszystkim ten olbrzymi blok twórczy jaki stworzył w toku swego pracowitego życia Tadeusz Boy-Żeleński, okaże się mocniejszy od kul, okaże się (a patos nie jest w tym wypadku żadną przesadą) naprawdę nieśmiertelny.

Piotr Życki

Święty spokój? Nie!

kich. Nie brak u nas zwolenników utatwionego modelu życia, usiłujących przy minimum wysiłku ze swej strony — zyskiwać dla siebie maksimum korzyści, przy czym, dodajmy, zyskiwać je różnymi sposobami, byle nie nadzbyt angażującymi siły zainteresowanego.

W każdym środowisku trafimy na takich, których skłonność do wygodnictwa i samolubstwa zepchnęła do roli konsumentów, a nie współtwórców dóbr, jakie zapewnia socjalizm. Tego rodzaju uboga filozofia, odstawiająca ludzi — czy sobie z tego w pełni zdają sprawę, czy nie — na boczny tor, z dala od głównego nurtu życia, jest filozofia rezygnacji.

Ludzie, dobrowolnie i sami opatrujący się naklejką „święty spokój”, nie tylko jednak wyizolowują się w jakiś sposób z ogółu społeczności; oni stają się zarazem czymś w rodzaju raf, u-

trudniających bieg rzeki życia. Bowiem ci spod znaku „dajcie mi święty spokój”, są skłonni do oportunistów, i niechętni do walki ze złem, gotowi natomiast do tolerancji miernej produkcji, kiepskiej roboty, przymykania oczu na kanty i szwindle. Oczywiście jest też chyba, że „świętospokojowa”, a więc bierna, nieaktywna postawa wobec życia — nie pozwala oczekiwać od ich no sicieli twórczego wypełniania zadań zawodowych i społecznych.

A to już jest coś, to już jest

zjawisko, wobec którego nie można przejść obojętnie, może ono bowiem odbijać się na codziennym życiu nas wszystkich. Pasywna postawa spod sloganu „dajcie mi święty spokój” jest bliską siostrą tego, co mało wykwinie zwyczajnie zwabi nasermatyzmem. Można też bez trudu doszukać się powinowactwa „świętospokojowców” z nosicielami znieczulicy społecznej.

Niedawno temu pisałem o cechach współczesnego Polaka. Nie łatwo tu o jednoznaczny wizerunek, jeśli nie miałby on być czymś w rodzaju zmodyfikowanego dekalogu. Niemniej nie budzi wątpliwości, że współczesny obywatel PRL, obojętny, czy będzie to członek partii czy nie, to przede wszystkim człowiek świadomy, aktywny, nie stroniący od spraw swego zawodu, swego środowiska, wsi, bądź miasta, od spraw świata. Na miano współczesnego obywatela w naszym kraju za-

stępuje chyba tylko ten, kto nie ogranicza się do biernej akceptacji ustroju socjalistycznego, lecz pomaga wcielać w życie jego założenia.

Dwadzieścia lat temu słabo było jeszcze na terytorium Polski z dowodnymi przykładami, że aktywne zaangażowanie społeczeństwa w procesy rozwoju kraju przynosi znamienite rezultaty. Inaczej — dzisiaj. Owe dotychczasowe dowody znajdujemy i u siebie w mieszkaniu, i na naszej ulicy, czy w naszym osiedlu, i na mapie kraju w postaci nierównie lepszych warunków bytowych, mieszkaniowych, w zmienionych radykalnie warunkach społecznych i gospodarczych. Tego wszystkiego nie dałoby się osiągnąć metodą „dajcie mi święty spokój”. Te wszystkie dokonania są efektem zaangażowania milionów członków i członków naszej polskiej społeczności. To są rezultaty nie biernej lecz czynnej postawy wobec życia.

Są to wszystko prawdy, nie pretendujące do miana odkrywczych. Ale nasza codzienność nie sie z sobą zdarzenia, każące przypominać pewne sprawy — zdawałoby się od dawna znane i uznane.

Dobry western to dobra rzecz. Tylko czy naprawdę taka przepełniła dzieli nas, nasze życie, od tego, czego jesteśmy świadkami na filmowej taśmie? Na co dzień nie pamiętamy na ogół, iż wypadło nam żyć w zwrotnym okresie dziejowym, zapoczątkowanym 50 lat temu Rewolucją Październikową. Potrzeba nam chyba nieco więcej świadomości, że trwa ogólnoludzki, ogarniający narody i kontynenty, proces przeobrażeń. Od nas i tylko od nas zależy, czy weźmiemy w nim udział, czy nie.

Wszystko to wydarzyło się przed miesiącem, 8 czerwca 1967 roku, w czwartym dniu „Blitzkriegu” Izraela przeciwko arabskim sąsiadom. W ów czwartek, militarny sukces antyaryabskiej agresji był już faktem dokonany. Tak więc Stany Zjednoczone, wspierające napastnika nie tylko moralnie, mogły demonstracyjnie programować swą neutralność w konflikcie. Wciąż wszakże w akwenach teatru wojny bliskowschodniej działały — jako ubezpieczenie i ewentualny odwód napastników — uderzeniowe zgrupowania VI floty USA. I wciąż jeszcze, tuż u brzegu egipskiego półwyspu Synaj, uprawiała swój proceder „pomocnicza jednostka telekomunikacyjna VI floty” — USS „Liberty”.

Pomocnicza agresja

„Liberty” była tylko jednym z siedmiu okrętów amerykańskich, przysposobionych do spełniania roli pływających „U-2”. Jednostki tego typu, wchodząc w skład światowego systemu wywiadu i dywersji USA, kierowanego przez najtajniejszą organizację wywiadowczą Pentagonu — NASA, mają przechwytywać i rozszyfrowywać obce depesze radiowe, ustalać pozycje stacji radarowych, ponadto w razie tzw. potrzeby prowadzić wojnę przeciwko systemowi radiowo-radiolokacyjnemu przeciwnika.

Ale jedynie „Liberty” — ponieważ właśnie ona tylko przydzielona była do VI floty — odegrała szczególnie aktywną rolę w czerwcowej wojnie bliskowschodniej. Ona to, rozpoczynając m. in. w dniu rozpoczęcia izraelskiej agresji „elektronowy parasol” nad obszarami ZRA, pozwoliła lotnictwu Mosze Dayana uzyskać, na skutek pełnego zaskoczenia Arabów, bezkarności działań.

Po samolotach...

Atak nadszedł niespodziewanie. No cóż... Personel „Liberty”, przekonany o bezkarności okrętu pływającego pod gwiazdą banderą, oddawał się szpiegowaniu w eterze odgłosów walk rozgrywających się (a raczej dogorywających) na Synaju, leżącym zaledwie 15 mil na południe od miejsca postoju okrętu. Natomiast atak nadszedł z północy.

Kiedy więc wachtowy sygnalista dostrzegł dwa, podchodzące do ataku samoloty, znajdowały się one już w odległości 2-3 tysięcy metrów. Załoga nie starczyła czasu na zorganizowanie obrony.

„Nie mogliśmy nic zdziałać — relacjonował później korespondentowi hamburskiego „Spiegla” 22-letni marynarz Thomas Jackson. — Spadło to na nas tak nagle i było wprost przerażające...”. Tyle tylko, że radiotelegrafista zdołał przekazać w eter kilkakrotną skargę „We are under attack” (Zostaliśmy zaatakowani). Cztery ciężkie karabiny maszynowe, stanowiące uzbrojenie „Liberty”, w ogóle nie otwarty ognia...

Sześć razy samoloty atakowały USS „Liberty”. Zabiły 9 i raniły 75 marynarzy. Także dowódca okrętu — William McGonagle, został trafiony odłamkiem. A w pewnej chwili obciąża została przez pociski i spadła z gąfla na pokład bandera okrętu. Oficerowie rozkazali natychmiast wciągnąć ją powtórnie na maszt. Tylko, że choć znowu była doskonale widoczna — nie pomogła...

...Kutry torpedowe

Samoloty nie zdołały właściwie wystrzelić po szóstem ataku na kurs powrotny, kiedy na horyzoncie pojawiła się grupa kutrów torpedowych,

złożona z trzech jednostek. Komandor porucznik McGonagle, któremu dwaj marynarze zabandażowali rany, dał komendę: „Cała naprzód!” Jednak „Liberty”, przy swej maksymalnej prędkości 15 węzłów, nie miała szans ucieczki przed atakującymi kutrami.

Choć więc nawet pierwsza z torped minęła o kilka metrów kadłub amerykańskiego okrętu, druga była celna. Uderzyła w prawą burzę „Liberty”, głęboko poniżej linii wodnej, wyrzucając w poszyciu dziurę 4-metrowej średnicy. „Nie myślałem już, byśmy zdołali wyjść z tego” — przyznał później 18-letni marynarz, Kenneth Ecker. A jednak stało się inaczej.

Bowiem torpeda trafiła akurat w tą część kadłuba, gdzie znajdowały się pomieszczenia ze specjalną apa-

Maciej Olszewski

„Liberty” nie zatонуła

raturą, oddzielone od reszty okrętu wodoszczelnymi drzwiami. Pracowało tam właśnie w izolacji 22 specjalistów. Charakter ich pracy sprawiał, że owe drzwi można było otworzyć od wewnątrz lub zewnątrz wyłącznie przy pomocy specjalnej kombinacji, znanej tylko niewielu osobom.

W zamieszaniu i panice, spowodowanej atakiem i wlewaniem się wody, owe środki ochrony tajemnicy okazały się zabójcze dla ludzi za drzwiami. Uratowali wszakże samą „Liberty”. A ponieważ okręt nie zatonął natychmiast z całą załogą, zaś napastnicy przypuszczali, że ocalałe ofiary zdołają zidentyfikować typ samolotów oraz kutrów, uznali się za zmuszonych do odkrycia przylbicy.

Tylko że zanim to uczynili, Stany Zjednoczone znalazły się o krok (a raczej o minuty) od wojennych konsekwencji prowokacji.

Dramatyczne pół godziny

Oto skoro tylko na flagowym krążowniku VI Floty USA „Little Rock” odebrano rozpaczliwe nawoływanie z odległej o 600 kilometrów „Liberty”: „We are under attack!” — wiceadmirał William Martin rozkazał ogłosić alarm bojowy na wszystkich okrętach, dowodzonej przez siebie VI Floty. Wkrótce też z lotniskowców USS „America” i USS „Saratoga” wystartowały pierwsze samoloty, załadowane bombami i rakietami. Piloci wraz z zadaniem „Ochronić Liberty” otrzymali informacje dotyczące okrętu... egipskich. Nawet jeśli prezydent Johnson powiedział o wszystkim i akceptując takie ryzykankie poczynania, zapewniał zarazem przez „gorącą linię” telefoniczną premiera Kosińskiego, że samoloty nie łączą się w wojnę pomiędzy Izraelem a krajami arabskimi, w tym samym czasie eskalacja alarmu objęła już nawet operujące na Morzu Śródziemnym

atomowe okręty podwodne, uzbrojone w rakiety „Polaris” z głowicami termojądrowymi.

Depesza z Tel Awiwu

Dopiero w 30 minutę ześlizgiwania się Stanów Zjednoczonych w awanturę wojenną o nieobliczalnych skutkach, kiedy obławowane bombowce pokładowe z lotniskowców „America” i „Saratoga” zbliżyły się już do półwyspu Synaj, admirał Martin otrzymał błyskawiczną depeszę radiową z ambasady amerykańskiej w Tel Awiwie. Z niej zaś dowiedział się, że napadu na „Liberty” dokonali nie Arabowie, lecz piloci i marynarze... Mosze Dayana. Rząd izraelski — „wyjaśniał” oficjalny meldunek — usprawiedliwia się i prosi o wybaczenie omyłkowego ataku swych samolotów i okrętów na USS „Liberty”.

Wobec takiego dictum admirałowi Martinowi nie pozostało nic innego, jak wezwać samoloty do powrotu na lotniskowce. Zarazem wydać rozkaz zrzucaenia bomb nad pełnym morzem, jako że ze względów bezpieczeństwa samoloty z takim ładunkiem nie mogły lądować na pokładzie lotniskowca.

Prowokacja izraelska owocowała jedynie śmiercią 34 i ranami 75 Amerykanów.

Nawet Pentagon

Tak — prowokacja! Zbyt dokładnie bowiem musiała być znana izraelskim „bohaterom” wyczynu przeciwko „Liberty” jej sylweta, jej rejon działania (a także brak podobnego okrętu po stronie arabskiej), by można było uwierzyć w ową „omyłkę”. Zbyt precyzyjnie, w ściśle skoordynowany sposób, przeprowadzony został kombinowany atak z powietrza i morza, by ktokolwiek uwierzył w „nieszczęśliwy zbieg okoliczności”. Atak na „Liberty” — właśnie na ten okręt, będący solą w oku Arabów — musiał być koordynowany, a więc i zamierzony przez dowództwo izraelskie.

Też o omyłce zakwestionował zresztą, jako nieprawdopodobną, nawet Pentagon, gdzie sprawą ataku na „Liberty” zajmowała się przez trzy tygodnie komisja śledcza marynarki USA. Ten sam Pentagon zastrzegł się wszakże, że „nie było sprawą komisji wypowiedzenie się co do winy atakujących”. Cóż się dziwić! Kruk krakowi oka nie wykole, Piracki wyczyn Mosze Dayana, jakkolwiek był wymierzony także przeciwko USA, nie będzie potępiony przez Waszyngton.

Zastanówmy się jednak: co stałoby się w przypadku natychmiastowego zatopienia „Liberty”? Gdyby ponadto w Tel Awiwie wiadano, iż zaszkodzona załoga „Liberty” nie zdołała zidentyfikować napastników samolotów i okrętów. Oczywiście rząd izraelski nie spieszyłby się z przeprosinami! A wówczas... Wówczas nastąpiłyby wydarzenia, których następstw musiał być świadom Mosze Dayan spekulujący w sposób groźny dla całej ludzkości.

WINNI TYLKO KIEROWCY?

Dokończenie ze strony 1

tej sytuacji, mimo oczywistego faktu, że w wypadku drogowym poszkodowany jest zwykle pieszy — niesłuszne byłoby organizowanie kampanii prasowej, jedynie przeciw kierowcom. Kampania — owszem, ale piętnująca wszystkich niedyscyplinowanych użytkowników dróg, niezależnie od tego, czy użytkownicy ci, to kierowcy,

Andrew B. Brown

Sto lat Kanady

Bardzo uroczyste obchodzą Kanadę setną rocznicę utworzenia — było to 1 lipca 1867 roku — konfederacji (dominium brytyjskiego), powstałej z większości wiernych angielskiej koronie obszarów w Ameryce Północnej. Ale ani przemówienia okolicznościowe, ani bicie w dzwony, ani ognie sztuczne nie mogą przesłonić tej prawdy, że przez to pierwsze stulecie — pojęcie kanadyjskiej narodowości i niepodległości Kanady, często stały pod znakiem zapytania.

W Kanadzie żyją obok siebie dwie narodowości — angielska i francuska, a wedle rozpowszechnionego mniemania, nawet pięć. Rozróżnia się więc: Kolumbię Brytyjską, przyłączoną do konfederacji w 1871 roku, która, przegrodzona od reszty kraju Górami Skalistymi, prowadzi po części samodzielną politykę. Kolejną grupę miałyby stanowić trzy prowincje prairii — twierdzą konserwatywnej opozycji w parlamencie federacyjnym, bogate, wysoce uprzemysłowione Ontario, francuski Quebec, głoszący się „panem na własnych śmieciach”, wreszcie cztery mniej rozwinięte prowincje atlantyckie, żywiące żal o to, że pozostałe traktują je, jak uboższego krewnego (w sumie liczy Kanada 10 prowincji i 2 terytoria).

Gdy w większości sfederowanych krajów świata, historia najnowsza notuje dążenia zjednoczeniowe, w Kanadzie dzieje się odwrotnie. Prym wśród separatystów kanadyjskich wieździe Quebec, manifestując swoją odrębność nie tylko wobec „Anglików z Ottawy”, ale zagranicą, a przede wszystkim Francji. Nie bez kozery hasłem Quebecu jest zawołanie „Pamiętamy”, a w jego herbie figurują burbońskie lilie...

Być może, na narodowym charakterze Kanadyjczyków wywarło piętno i to, że — jedyny kraj zachodniej półkuli — nie miała Kanady w historii, poprzedzającej jej powstanie, ani rewolucji, ani walk narodowo-wyzwoleńczych. Brak bohaterów i symboli, ciągłość historyczna — to jedyna, wspólna cecha ludności angielskiej i francuskiej, nie jednocząca jednak.

Data 1 lipca jest w pewnym sensie teoretyczna. Jeszcze długo potem wszelkie zmiany w konstytucji kanadyjskiej uchwalal parlament brytyjski, a jeszcze po drugiej wojnie światowej Izba Lordów była najwyższą instancją sądową dla Kanady. Dopiero w dwudziestych latach zaczęła Kanada wysyłać misje dyplomatyczne za granicę i jeszcze w 20 lat potem, jej interesy reprezentowały w niektórych państwach brytyjskie placówki.

Wpływy Londynu malały, ale rosła zależność od Waszyngtonu. Koncerny USA kontrolują dzisiaj ponad połowę przemysłu kanadyjskiego. — Opinia kanadyjska kształtuje się w dużej mierze pod wpływem amerykańskiej TV, radia, filmu, prasy. Najdłuższą niebronioną granicą na świecie — między Kanadą i USA — można przekraczać bez większych formalności w dowolnej porze i miejscu.

Choć więc sąsiedów łączą liczne interesy, przyjaźnie i więzy rodzinne, chociaż jest Kanada członkiem NATO i pierwszym partnerem handlowym USA, resentymenty antyamerykańskie są tam żywe. Kanada nie chce być kolonią gospodarczą USA, nie chce być wprzęgana przez nie w ich agresywną politykę. W ostatnich latach Kanada zaktywizowała wysiłki na rzecz odprężenia między Wschodem i Zachodem.

Mówi się o Kanadyjczykach, że stracili tyle czasu na wyjaśnianie Anglikom, że nie są Amerykanami, a Amerykanom, że nie są Anglikami, iż nie zdążyli zastanowić się, kim są sami. Na tym też polegać by miała rola jubileuszowego roku Kanady; pomóc Kanadyjczykom określić własną osobowość.

Wspaniała EXPO-67 w Montrealu ma ukazać nie tyle bodaj światu, ile 18 milionom mieszkańców tego pięknego i wielkiego (pod względem powierzchni, drugiego po ZSRR) kraju, czym jest on dzisiaj. Przypomnieć, że pod względem stopy życiowej, rozwoju produkcji i handlu zagranicznego, Kanada zajmuje wysokie miejsce wśród państw uprzemysłowionych.

nowego. Ponieważ jednak tak nie jest — piesi w swoim własnym interesie muszą bezwzględnie respektować przepisy drogowe, podobnie jak inni użytkownicy dróg.

MICHAŁ ŁUCZAK

P. S.: W liście pana Zygmunta D. sporo miejsca zajmują szczegóły wypadku przy ul. Ostrówek Tumski. Te fragmenty korespondencji pominęliśmy. Trudno bowiem omawiać szczegółowej sprawę, która jeszcze nie została przez sąd rozpatrzona (rozprawa ma nastąpić w sierpniu lub wrześniu br.).

Przeglądamy Prasę

Polak się uczy

Kulminacyjny punkt gorączki egzaminacyjnej w szkołach średnich (matury) i wyższych (egzaminacje wstępne), mamy już właściwie za sobą. Nie znaczy to, że problemy nauczania i studiowania, a także zapewnienia możliwie największej liczbie kandydatów miejsc w szkołach i uczelniach — są już rozwiązane. Piszą na ten temat w najnowszych numerach tygodników publicyści i naukowcy.

Znany z telewizyjnych „Gawęd o współczesności”, prof. dr Konstanty Grzybowski, na łamach „Życia Literackiego” opublikował „refleksje sceptyczne”, zatytułowane: „Odsiew”. Na wstępie autor stwierdza, że odsiew występuje niemal wszędzie tam, gdzie człowiek działa, że w procesie kształcenia odsiew przybiera formę egzaminów, z których wyników — rzecz jasna — najbardziej są niezadowoleni ci, co padają ich ofiarą.

Kto winien? Centralne kierownictwo oświaty lubi przerzucać odpowiedzialność na nauczających, że nie dołożyli należytych starań, że stosują wadliwą dydaktykę, że winni są oni, a nie uczeń, któ-

ry odpadł. Nauczający z kolei obarczają odpowiedzialnością centralne kierownictwo oświaty: programy studiów są niewykonalne. Często też licea przerzucają odpowiedzialność na szkoły wyższe, a szkoły wyższe na licea. Polacy — stwierdza „Grzybowski” — przerzucają odpowiedzialność, jak piłkę, jeden na drugiego. Rzecz charakterystyczna, że odsiew młodzieży robotniczej i chłopskiej w czasie studiów, wcale nie jest wyższy niż młodzieży pochodzenia inteligenckiego. Wręcz przeciwnie:

„Pogląd, jakoby „robotniczo-chłopscy” obniżyli poziom nauczania i wyniki nauczania, jest mitem, nie znajdującym pokrycia w rzeczywistości. Fakt zaś, że mit ten się utrzymuje — a mam czasem wrażenie, że nawet się umacnia — jest sygnałem alarmującym. Świadczy o niedostatecznej i płytkiej jeszcze demokratyzacji tych grup społecznych, wśród których się utrzymuje: nie ma go niemal wśród szczytów inteligencji, jest wśród inteligencji „średniej” (...) i drobniomieszczańskiej.”

K. Grzybowski stwierdza dalej, że odsiew mógłby być bardziej kontrolowany. Chodzi mu mianowicie o to, iż studia wyższe przygotowują trzy różne grupy ludzi: przyszłych pracowników nauki, inteligencję zawodową spełniającą funkcje „konceptyjne” oraz wielkie masy inteligencji, które będą spełniały funkcje głównie wykonawcze. Każdą z tych grup należałoby przygotowywać i kształcić (tak jak to się dzieje już we Francji) inaczej, a tymczasem program jest jednolity dla wszystkich trzech grup. Np. przyszłych naukowców kształcimy właściwie dopiero po ukończeniu przez nich studiów.

„Należy zerwać z tradycyjnym snobizmem, że inteligent o wyższym wykształceniu, to zawsze i wszędzie inteligent o takim samym stopniu wykształcenia (...). Należy żyć w drugiej połowie wieku XX, a nie w wieku XIX.”

Z mitem o gorszych postępkach w studiach młodzieży robotniczo-chłopskiej walczy też na łamach „Tygodnika Kulturalnego” Jerzy Kania w artykule pt. „Cel czy środek”. Na wstępie autor podaje kilka liczb: „W roku 1966 przyjęto na studia ponad 38.000 osób, w roku 1965 — ponad 33.000, w roku 1964 — 29.000 osób. W roku bieżącym na maturzystów czeka około 40.000 miejsc na wyższych uczelniach. Jak widać, występuje u nas systematyczny wzrost ilości miejsc na uczelniach. A więc, byłoby nieźle, gdyby nie ów wyż. W 1950 roku o przyjęcie na studia ubiegało się 49.413 osób. W lipcu 1965 r. — już 78.515 dziewcząt i chłopców. W roku ubiegłym o indeks walczyło prawie 90.000 (...).

Autorki krytycznie ustosunkowuje się do tzw. systemu punktowego przy egzaminach wstępnych, a zwłaszcza do doliczania punktów za pochodzenie robotnicze lub chłopskie. „Styśz się głosy, że te trzy punkty za pochodzenie chłopskie nie zrównoważą dysproporcji w poziomie przygotowania do egzaminów. Zwłaszcza w tym roku, gdy podniesiono liczbę punktów za oceny bardzo dobre z 5 w roku ubiegłym, do 12 w roku bieżącym (...). Uległa (...) w ten sposób dewaluacji premia za pochodzenie społeczne. Wyśnawane są więc tu i ówdzie, aby podnieść ją do 6 punktów.”

J. Kania dowodzi dalej, że najbardziej zdyscyplinowani studenci, to najczęściej młodzież, pochodzenia chłopskiego. Również po ukończeniu studiów, chętnie (chętniej niż młodzież z wyższych ośrodków miejskich) podejmują pracę w terenie w zgodzie z kierunkiem studiów. Oczywiście, autor (zgodnie zresztą ze swymi zainteresowaniami), pisze tutaj tylko o młodzieży chłopskiej, pomijając młodzież pochodzenia robotniczego. W zakończeniu artykułu czytamy: „Młodzież chłopska na ogół dąży do szybkiego ukończenia studiów. Ma na to wpływ również pre-

sja środowiska wiejskiego, utrzymującego w pewnej dyscyplinie moralnej i finansowej jednostki, które odeszły ze wsi na studia. Zbyt długi okres studiowania, oceniany jest przez wies ujemnie i kwalifikowany, jako niedostępowość.”

Szkolnictwo dla pracujących jest tematem artykułu Jerzego Oracza pt. „Cena dyplomu” w „Głosie Nauczycielskim”. Szkolnictwo dla pracujących, które znalazło swe odbicie również na ostatnim Kongresie Związków Zawodowych, miało i będzie miało ogromne zadania, nie tylko w zakresie liczbowego zaspokojenia potrzeb gospodarki, lecz także coraz lepszego w sensie jakościowym przygotowania kadr bez odrywania ich od pracy zawodowej.

O ogromie tych zadań świadczy fakt, że w latach 1966-1970, planuje się objąć nauką w różnych typach szkół dla pracujących około 2,5 mln. osób. W szkolnictwie tym jednak jest jeszcze sporo spraw do naprawienia. Oto niektóre z nich: Powinno ono być przystosowane tylko dla dorosłych (dzieci i młodzież niech się uczą w szkołach młodzieżowych, nawet jeśli to są szkoły przyzakładowe); szkolnictwo to wymaga ustalenia odpowiedniego dla dorosłych profilu; to samo dotyczy przygotowania programów i podręczników, które powinny być bardziej, niż dotychczas, dostosowane do charakteru pracy zawodowej uczniów; uwzględnienia w programach i planach nauczania wymaga też okres adaptacyjny, dostosowania się słuchacza do wymagań szkoły.

„Przy wszelkich decyzjach, dotyczących oświaty dorosłych, warto pamiętać o tym, że uczniami tych szkół są ludzie, których decyzja powzięta była z całą odpowiedzialnością i świadomością co do konsekwencji, płynących z tego faktu (...). Nie obniżając poziomu szkół dla dorosłych, a nawet podwyższając go, należy naukę tę ułatwić.”

LEKTOR